W roku trzydziestym trzecim, niedługo po ukrzyżowaniu Jezusa, apostoł Jakub „przepasał biodra swoje” i wyruszył z Jerozolimy na tereny dzisiejszej Hiszpanii, żeby tam szerzyć nową wiarę.

Miał do przejścia około pięć i pół tysiąca kilometrów i w dzisiejszych warunkach, idąc rozsądnym tempem, dotarłby do celu prawie po roku.

W tamtych czasach tylko niewielką część trasy mógł przebyć po drogach uczęszczanych przez kupców czy wojsko. Częściej musiał iść ścieżkami pasterskimi lub zbójeckimi. Nie mógł tamtędy podróżować sam, bo zagryzłyby go wilki lub zabili rabusie. Musiał przyłączać się do innych „ludzi drogi” i zapewne długo czekać na spotkanie kogoś idącego w tę samą stronę – o ile sam dokładnie wiedział, dokąd idzie. Mógłby część trasy przebyć statkiem, ale to by niewiele skróciło czas podróży. Regularnych rejsów w tamtych czasach nie było, a na okazję czekałby zapewne miesiącami. Mając to wszystko na uwadze, można chyba przyjąć, że jego podróż trwała co najmniej trzy lub cztery lata.

Pobywszy w ówczesnej Hispanii jakiś czas, Jakub wrócił do Jerozolimy, gdzie został jej pierwszym biskupem. Zapewne za to podpadł panującemu wówczas Herodowi Agryppie i ten w roku czterdziestym czwartym kazał go ściąć.

Pomiędzy śmiercią Jezusa i Jakuba upłynęło około jedenaście lat, z czego prawie osiem apostoł spędził w drodze. Nie pobył na Półwyspie Iberyjskim długo i zapewne osiągniecia misyjne miał marne.

Nie ma żadnych dowodów na to, że Jakub na pewno był na tamtych terenach i nawet kościelne publikacje zabezpieczają się w tym przypadku sformułowaniem: „jak mówi tradycja”.

Według owej tradycji szczątki świętego zostały w siódmym wieku sprowadzone do Galicji, ale gdzieś przepadły. Odnaleziono je dopiero w dziewiątym wieku. Miejsce ich spoczynku podobno wskazała spadająca gwiazda i nazwano je „Compostela” od łacińskich słów „campus stellae”, czyli „pole gwiazdy”. Hiszpańskie „Santiago” znaczy po polsku „święty Jakub”. Te dwa słowa połączono i stąd nazwa miasta, gdzie według tradycji znajduje się grób świętego, brzmi dzisiaj Santiago de Compostela.

Wspomniana już tradycja mówi również o innych zasługach Santiago dla hiszpańskich katolików. Otóż ów święty podobno zstąpił z nieba i wspomógł ich osobiście w bitwie pod Clavijo (844 r.) oraz w kilku innych potyczkach z Maurami. Za te wojenne zasługi nadano mu przydomek „ Matamoros”, czyli „Zabójca Maurów”.

Wszystkie te iberyjskie „przygody” Jakuba sprawiły, że został on patronem Hiszpanii i Portugalii, a Santiago de Compostela stało się popularnym celem pielgrzymek.

Widziałem wiele miejsc, do których pielgrzymują katolicy i odnoszę wrażenie, że we wszystkich jest podobna atmosfera. Wszystko w tych miejscowościach zdaje się mówić: „Przybyszu! Skoro już tu jesteś, to zachowuj się cicho i poważnie. Wydaj jak najwięcej pieniędzy i wyjedź jak najszybciej, żeby zrobić miejsce dla innych.”

Nad odpowiednim zachowaniem odwiedzających czuwa tam, mniej lub bardziej otwarcie, kościelna załoga. Wspiera ją armia samozwańczych strażników porządku w postaci różnej maści dewotów obojga

płci. Ludzie ci, nie przerywając swoich modłów, łypią groźnym okiem dookoła i natychmiast, często niegrzecznie, karcą innych za nieodpowiednie zachowanie.

O opróżnianie pielgrzymich kieszeni dbają liczni straganiarze sprzedający medaliki, figurki i inne pamiątki. Niekiedy ich oferta graniczy wręcz ze świętokradztwem, tak jak w Lourdes, gdzie sprzedawane są butelki na „świętą wodę" w postaci figurek Marii z odkręcanymi główkami. Niechlubnie wyróżnia się Częstochowa, która stała się miejscem różnego rodzaju demonstracji niemających nic wspólnego z religią.

Wszystko to – według mnie – powoduje, że miejsca te utraciły charakter świętych. Kościół jednak to akceptuje, więc chyba tak ma być.

Na tle takich miejscowości pozytywnie wyróżnia się Santiago de Compostela. Jest tak zapewne dlatego, że odwiedzają je ludzie innego sortu. Zgodnie ze średniowiecznym wzorem pielgrzymi udają się tam na piechotę i nie w zorganizowanych, licznych grupach. Przyjęło się, że aby uczciwie „zaliczyć" pielgrzymkę, należy przejść przynajmniej sto kilometrów. Jest co prawda i nowoczesna opcja dopuszczająca podróż rowerem lub konno, ale wtedy minimalny dystans jest dwa razy dłuższy. Po drodze należy uzyskać poświadczenia przejścia przez swojego rodzaju punkty kontrolne i dopiero wtedy można u celu otrzymać compostelę, czyli certyfikat potwierdzający odbycie pielgrzymki.

Wędrując zatem niekiedy samotnie setki kilometrów, pielgrzymi mają czas na rozmyślania i dzięki temu dobrze wiedzą, po co tam idą. Dlatego wchodząc do miasta, nie demonstrują potęgi swojej wiary, idąc hurmem ulicami i utrudniając życie mieszkańców. Przybywają małymi grupkami – często tylko po dwie lub trzy osoby, a nierzadko pojedynczo. Idą po chodnikach jak zwykli przechodnie, odróżniając się od nich jedynie odblaskowymi kamizelkami. W Hiszpanii nie wolno bowiem chodzić po szosach bez takich kamizelek i niektórzy z nich noszą je nawet po wejściu do miasta.

Nie maszerują, wymachując flagami narodowymi, papieskimi czy związkowymi. Czasem niosą własnoręcznie zrobione proporczyki lub małe transparenty z napisami typu: „Idę dla Boga i dla siebie" czy „Chłopaki z Bilbao".

Nie informują o swoim nadejściu nabożnymi śpiewami wzmacnianymi przenośnymi głośnikami. Idą w ciszy, bo nie są uczestnikami spędów organizowanych z okazji lub na cześć, ale przybywają z dobrej woli i wewnętrznej potrzeby.

Inaczej też wita ich miasto, bo i inna jest w nim atmosfera. Jest ona przyjazna i wszystko zdaje się tam mówić: „Przybyszu! Jesteś wielki, że tu doszedłeś. Cieszymy się z tego i Ty ciesz się z nami".

Również drenaż pielgrzymich kieszeni jest tam słabszy. Są oczywiście sklepy i stragany oferujące muszle i krzyże św. Jakuba, ozdobne sakwy, tykwy i polakierowane kostury pątnicze, ale daleko im do ich odpowiedników z Fatimy czy San Giovanni Rotondo.

Zdrożeni pielgrzymi dotarłszy pod katedrę, odpoczywają jak turyści po trudnym marszu. Siadają gdzie mogą, pożywiają się, robią zdjęcia, a niektórzy rozkładają karimaty i ucinają sobie drzemkę. Są szczęśliwi, że doszli i że dokonali tego, co sami sobie obiecali.

Nie wszyscy nawet biorą udział we mszach odprawianych dla nich codziennie w katedrze. Wyjątkiem są msze okraszane tamtejszą atrakcją o nazwie „Botafumeiro". Jest to olbrzymia kadzielnica napełniana

około czterdziestu kilogramami „paliwa” i rozhuśtywana na pół długości nawy. W czasie takich mszy świątynia jest pełna. Ludzie zadzierają wtedy głowy, fotografują „pokaz” i zapewne sporo z nich weszło tam tylko po to.

Na przykatedralnym placu w Santiago de Compostela panuje atmosfera niekończącego się zakończenia wielkiego zlotu dobrych ludzi połączonego z radosnym ludowym festynem, a ceremonie kościelne są tylko do niego dodatkiem.

Słyszałem opinie, że jest tam za wesoło i za mało tam Boga. Według mnie wszystkiego jest akurat tyle, ile trzeba. Albowiem jest napisane: „Radujcie się zawsze w Panu; jeszcze raz powtarzam: radujcie się! Niech będzie znana wszystkim ludziom wasza wyrozumiała łagodność: Pan jest blisko!” Tak pisał w liście do Filipian św. Paweł, a był to specjalista od spraw boskich lepszy niż wszyscy dzisiejsi biskupi razem wzięci.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 12.09.2019 11:46

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.